NR 1

xvi. 93.

...etnia 1889.

...RZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
...dres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu", Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

SŁOWO WSTĘPNE.

Rozpoczynamy z dniem dzisiejszym ...ydawać nowe pisemko ludowe. Po...zebę jego czuliśmy oddawna, ponie...aż w Galicji nie ma i nie było do...chczas niezależnego pisma, któreby ...czerze broniło interesów chłopskich.

Za główne zadanie pisma, sto...cego na straży interesów ludowych, ...ważamy pracę w tym kierunku, by lud ...k najszerszy przyjmował u...ział w życiu publicznem. Przy ...kiem jak dotychczas zainteresowaniu ... tem życiem, nigdy nie nabędzie ...n ani zrozumienia swych interesów ... potrzeb, ani poczucia godności i obo...wiązków obywatelskich. Dlatego też, ...wbrew zwyczajnym pisemkom dla ludu zajmować się będziemy przedewszy...stkiem sprawami publicznemi, ...począwszy od spraw gminy i wioski, ...zytelni i szkoły, kółka rolniczego i ...raży ochotniczej do spraw całego na...odu i całej ojczyzny.

Wzywając i nawołując włościan do ...spółdziałania w sprawach krajowych, ...ędziemy współdziałanie to uważali za ...iezupełne i niedostateczne, dopóki ...ajwybitniejsi przedstawiciele ludu nie wejdą do Sejmu i Rady państwa i tam nad polepszeniem doli chłopskiej, a więc nad dobrem kraju, nie będą czu...wać i radzić. Ku temu idąc celowi, będziemy się starali, by lud zdawał sobie sprawę z położenia swego i sam głos w swoich interesach zabierał. — Nie potrzebujemy dodawać, że mówić będziemy całą prawdę, chociażby ona gorzką była. Wobec masy narodu, w ciężkich warunkach, podążającej do oświaty, dobrobytu i postępu, nikt nie zawinił ciężej i zdrożniej, niż ci, co bezsumiennie przemilczają, jak jest, a jak być powinno. Ilekroć dojdzie nas uzasadniona skarga na wyrządzoną krzywdę — złe będziemy karcić, jak gdzieindziej dobre podnosić, a na wy...padek potrzeby chętnie przyjdziemy z poradą prawną.

I innych wskazówek nie poskąpimy: czytającym, co czytać należy, rolni...kom, jak z roli największy wyciągnąć pożytek, wszystkim pytającym nas o radę, jak działać, aby lepiej było.

W usiłowaniach naszych potrzebu...jemy poparcia. Zwracamy się więc o nie do przyjaciół ludu, którzy dla

NUMER NA OKAZ.

dobra jego pracują, a **przedewszystkiem do samychże włościan**.

Chcecie bracia mieć obronę i pomoc czy od rządu, czy od instytucji krajowych, to utrzymujcie swoją gazetkę, niby swojego adwokata, a utrzymać ją możecie tem, jeżeli będziecie prenumerować licznie, jeżeli będziecie do niej pisywać o swej biedzie i przypominać posłom, aby spraw włościańskich i rękodzielniczych należycie pilnowali, skoro się tego podjęli.

Cenę dajemy niską, na którą przecie wielu się zdobędzie, a choćby i dwóch, trzech razem może się złożyć.

Do gazetki tej powinni też pisywać listy sami czytelnicy, aby w drugich stronach ludzi wiedzieli, co się gdzieindziej dzieje, a jak wypadnie razem co zrobić, żeby się przez gazetkę porozumieli.

Niedalekie wybory.

Niezadługo będziemy mieli wybory do sejmu krajowego. Czas wam więc, panowie gospodarze, już teraz pomyśleć i **naradzić się nad tem, jak i kogo macie wybierać**.

Dotychczas wybieraliście najwięcej dziedziców lub panów z miasta. Nie przeczymy, że są między nimi ludzie, którzy szczerze pragną waszego dobra. Ale wielużto jest takich, którzy nie znają chłopskiego życia i chłopskiej biedy, albo też mają na oku przedewszystkiem swe własne interesy, często niezgodne z interesami chłopskimi. Stąd też pochodzi, że sejm nasz mógł pouchwalać także ustawy, jak o drogach, o rybactwie i inne, dla stanu chłopskiego bardzo niedogodne, a najwięcej czasu strawił na uchwala-

m, że wielu
gospodarze w ..chodniej Galicji. pı
nad tem, jak by temu konice położy..
by wybrać sejm taki, któryby chciał i u
więcej dobrego zrobić dla ludu i dla
chcemy wam o tem w naszem piśmie w
wiedzieć swoje uwagi.

Przedewszystkiem więc musimy po
dzieć, że zdaniem naszem chłop najlepiej
czuje potrzeby i interesy chłopskie. Doty
czasowy nasz sejm nie miał ani jedne
chłopa — i stąd w znacznej mierze poch
dziła jego jałowość i jednostronność. Dawni
kiedy w sejmie zasiadali wieśniacy rus
i mazurscy inaczej się toczyły rozpra
uważnie słuchano, co kto mówi, pilni
dziano na posiedzeniach, nie zbywano
żnych spraw lada kilkoma słowami. Chł
uważali posłowanie jako rzecz sumienia, j
wielką i ciężką służbę gromadzką, a nie j
pusty honor. Włościanin w sejmie zasi
jący pewnie nigdy nie da się skłonić
tego, by głosował przeciw interesom w
ściańskim. To jest przyczyna, dla której
dzimy wam zawczasu wyszukać sobie r
zumnych, piśmiennych i niezaw
słych kandydatów na posłów z p
między siebie samych.

Lecz powiecie może: co z tego, że chło
zrozumie najlepiej, co chłopa boli, kiedy o
nie umie wypowiedzieć dobrze tego, nie p
trafi przekonać drugich, obronić chłopsk
sprawy. To prawda, i dla tego koniecz
jest rzeczą, byście prócz kandydatów ch
pów wyszukali i upatrzyli sobie bo
choć kilku ludzi oświeconych, któr
szczerze chcą dobra waszego i oświadc
swą gotowość bronić w sejmie waszych in
resów. W swoim czasie, przed wybora
postaramy się wskazać wam takich lu

chociaż lepiej by było, żebyście już teraz sami porozumieli się między sobą i z redakcją naszą, by potem można było działać od razu, ze świadomością zupełną i z konieczną zgodliwością. W takim razie, ludzie inteligentni i szczerzy przyjaciele chłopów, wybrani przez was i mając przy sobie kilku lub kilkunastu posłów chłopów, zgodnie głosujących w każdej sprawie, mogliby od razu zająć w sejmie wybitne i silne stanowisko i bardzo wiele dobrego zrobić.

Z umieszczonego w naszem piśmie życiorysu posła Orzechowskiego, który, będąc chłopem, dzielnie zastępuje interesy chłopskie we Wiedniu w Radzie państwa, możecie się przekonać, że ci, którzy wam odradzają wybierać posłów z pomiędzy siebie, nie waszego ale swego dobra pragną. Mówią oni: „ale cóż tam chłop w sejmie będzie czynił, kiedy on większej części spraw nie zrozumie! W sejmie trzeba pracować w komisjach, gdzie się roztrząsają tysiączne sprawy, układają ustawy, które potem mają być uchwalane, tam trzeba mądrych głów, biegłych prawników i polityków!“

Otóż przedewszystkiem nieprawdą jest, żeby w sejmie takie mądre rzeczy gadano, iżby ich prosty chłop zrozumieć nie mógł. Przeciwnie zbyt często gadają takie rzeczy i w taki sposób, że nawet prostemu chłopu wstyd by ich słuchać (przypominamy n. p. gadanie posła hrabiego Lassockiego o „świętej karczmie“). A powtóre, piśmienny i rozumny chłop potrafi i w komisji pracować i głos zabierać tak samo dobrze, jak niepiśmienny hr. Lassocki, zresztą większość sejmowa pewnie nie wybierze chłopa ani do komisji prawniczej, ani do budżetowej, ani do żadnej z takich komisyj, które zachowuje dla siebie, lub w której potrzeba ludzi fachowych. Prócz tych komisyj jest dużo takich, gdzie chłop bardzo dobrze pracować może, i gdzie głos jego może być nawet bardzo pożądany. Ażeby tam w sejmie zasiadały same tylko mądre głowy, to jest stara bajka, której nikt nie wierzy. Przeciwnie, dotychczasowa działalność sejmu jak najwyraźniej dowodzi, że niektóre głowy tam zasiadające są aż zanadto mądre — ale dla siebie, a inne znowu zanadto nie mądre, a ogółowi brak właśnie tego, co w pośrodku leży — zdrowego, prostego rozumu chłopskiego, brak tego poczucia, że interesy chłopa, interesy ludu pracującego powinne być głównym przedmiotem troski i pracy sejmowej. Było kilku posłów szczerych i o dobro ludu dbających, jak n. p. dziennikarz krakowski p. Romanowicz, ale takich było mało. Waszą rzeczą, panowie gospodarze, będzie wprowadzić do sejmu nowych ludzi, prawdziwych swoich zastępców, którzyby chcieli i umieli bronić waszych interesów, a zobaczycie, że wtenczas sejm i cała autonomja będą dla was prawdziwem a wielkiem dobrodziejstwem i pomocą.

JAN ORZECHOWSKI.

Podajemy niniejszem czytelnikom naszym życiorys zacnego męża, dzielnego obrońcy spraw ludowych, posła włościanina powiatu bocheńskiego, gospodarza-rolnika, pana Jana Orzechowskiego. Zaufaniem włościan zaszczycony, nie kupiwszy sobie zaszczytu posła ani pieniędzmi, ani wódką, ni też kiełbasą, nie cieszący się łaską dygnitarzy powiatowych, zasiada on z woli ludu, włościaństwa drobnego i mieszczaństwa pow. bocheńskiego od roku 1885 w Radzie państwa we Wiedniu. Jako poseł, broni przy każdej sposobności słusznej sprawy, chroniąc nietylko swych wyborców, ale i włościan naszych okręgów od krzywd, jakie nie raz źli lu-

dzie biednym naszym kmieciom wyrządzić zamyślają. Gospodarz Jan Orzechowski urodził się w r. 1827 we wsi Łazy, koło miasteczka Bochni z rodziny włościańskiej. Zaznał on jeszcze czasów pańszczyźnianych i nieraz o nich opowiada.

Orzechowski sam pańszczyzny nie robił. Ojciec jego bowiem, będąc jeszcze chłopcem kilkunastuletnim uciekł ze wsi rodzinnej Lubli w Jasielskiem aż do miasteczka Bochni. Tam wstąpił do kowala i wyuczywszy się rzemiosła, przez to od odrabiania pańszczyzny został uwolniony. Jako kowal osiadł rodzic pana Jana we wsi Łazach i tam żyjąc pracowicie i oszczędnie kupił sobie kawałek gruntu. Dzieciom swoim dał według możności staranne wychowanie. Jana i brata jego posłał do szkoły normalnej do Bochni, gdzie uczyli się dobrze. Brat starszy, wyzwolony kowal, porzucił rzemiosło i w r. 1848 podążył na Węgry na wojnę do oddziału polskiego i tam zginął. Jan pozostał w domu, gdzie się poświęcił stelmachowstwu, a wyzwoliwszy się poszedł na wędrówkę, jak to mówią — na Wander, obchodząc pieszo cały Szlązk i Węgry, wszędzie uczciwie zarabiając na chleb. Podczas tej wędrówki na obczyźnie nie jednego się pan Jan nauczył, wiele widział, a jako człowiek pojętny z otwartą głową nie mało doświadczenia nabrał. W r. 1846 podczas smutnych wypadków, brał czynny udział, odwodząc włościan od gwałtów, a narażeniem własnego życia nie jedną rodzinę szlachecką wybawił od nieochybnej śmierci. Rząd ówczesny był wydał rozkaz aresztowania «buntownika» polskiego, stelmacha Jana Orzechowskiego, ale uszedł on szczęśliwie temu niebezpieczeństwu. Po r. 1848 obudziło się w Janie zamiłowanie do rolnictwa. Zaczął gospodarować i dorabiał się dziesięciu palcami, jakto mówią, dobrobytu, tak iż teraz Orzechowski należy w powiecie bocheńskim do najwzorowszych i najmajętniejszych włościan. Przy swej ciężkiej pracy nigdy p. Jan nie stracił zamiłowania do książek. Gdzie mógł i na ile go stało skupywał stare książki, z nich czytał i uczył się, tak iż lepiej on zna historję powszechną i polską, niż niejeden co od dzieciństwa miał książki i nauczycieli.

Gdy nastały czasy autonomiczne w Galicji, to wieś rodzinna Łazy wybrała go swym wójtem i godność tę na pożytek gminy przez 11 lat piastował. Również gminy wiejskie wybrały go do Rady powiatowej bocheńskiej. Na tych stanowiskach zawsze się starał o dobro ludu, szczególnie włościaństwa. Każda sprawa słuszna znalazła w nim dzielnego obrońcę, szczególnie dążył on do założenia szkół wiejskich, wiedząc, że tylko za pomocą szkoły i oświaty włościaństwo nasze może się podnieść. Jako poseł do Rady państwa godnie p. Jan Orzechowski swój stan reprezentuje.

Jako przedstawiciel ludu wszędzie i zawsze występuje on w obronie jego interesów, ilekroć chodzi o ochronę tychże przeciw zachciankom zwolenników dawnej naszej polityki, uważającej dotychczas stan mieszczański i włościański za niemowlę, za brać młodszą, która sama myśleć i działać nie może. Poseł Jan Orzechowski wybrany w r. 1885 do Rady państwa przeciw magnatowi hr. Stadnickiemu wstąpił jak każdy poseł-Polak z Galicji do grona posłów polskich, nazywających siebie Kołem polskiem. Z początku, jako jeszcze nieobeznany z formułkami parlamentarnemi, odgrywał tam rolę widza, słuchacza. Słuchał i widział wszystko, co mężowie stanu czyli

politycy, mówili i robili; ale wnet się przekonał, że za większością Koła postępować nie należy, gdyż ta większość rozumie pod sprawami krajowemi tylko interes jednej drobnej warstwy czyli części społeczeństwa; co według rozumnego i uczciwego sposobu myślenia Orzechowskiego, jest niesprawiedliwością Według niego, poseł prawdziwy nie ma bronić interesów drobnej części mieszkańców kraju, lecz interesów ogółu. Rychło też poseł Orzechowski porzucił stanowisko widza, a obeznawszy się dokładnie z przepisanemi formułkami parlamentarnemi zaczął czynnie występować, i ku zgrozie patentowanych polityków brać żywy udział w naradach Koła. Przedewszystkiem znając dokładnie biedę włościan i wiedząc, jak uciążliwemi są dla nich i dla rozwoju gospodarstwa rolnego wysokie ceny soli dla bydła, domagał się od Koła, aby u rządu wyjednano tańszą sól dla bydła. Popierało go w tem dążeniu kilku posłów niezawisłych, to znaczy, nie godzących się na przymilanie się rządowi, ale bezskutecznie, gdyż większość Koła pod rozmaitymi pozorami, najczęściej aby »rządowi trudności nie robić« zabagniła rzecz całą. W sprawie naftowej Orzechowski także wystąpił samoistnie. Według jego sposobu rozumowania, nafta jest niezbędną rzeczą, bez której nikt obejść się nie może, dla tego wystąpił przeciw wielkiemu podwyższeniu cła, to znaczy opłaty rządowi za wprowadzone do kraju towary. Orzechowski jak wyżej wspomnieliśmy, żywo się zajmuje sprawami oświaty ludowej. We wsi Tokach, gdzie przez 11 lat był wójtem, pomimo początkowej niechęci włościan, założył i wybudował szkołę gminną, a w Radzie państwa wyjednał dla Bochni uzupełnienie gimnazjum. Ale nie na tem się kończy jego działalność. Z chlubą dla naszego włościaństwa, zaznaczyć tu musimy, że poseł włościański, sam będąc chłopem zawsze na to parł w Kole, że szkoły i oświata powinny być dla wszystkich dostępne, zaś nauka bezpłatna. Niezmordowanie występował i występuje przeciw czesnemu w szkołach średnich, rozumując, że wskutek czesnego ludowi zagradzają drogę do oświaty i przez to do poprawy swego losu. Pan Orzechowski w bronieniu spraw słusznych nieraz okazał się nieustraszonym i nieugiętym, jak np. wówczas, gdy chodziło o zniesienie w kilku prowincjach instytucji sądów przysięgłych, w niektórych sprawach —Wykrył on oszustwo dwóch właścicieli dóbr, którzy pod formą parcelacji wsi Rozdziela Górnego wyłudzili od włościan wiele pieniędzy, a po kilku latach, biednych włościan chcieli wypędzić z gruntów, nabytych krwawo zapracowanym groszem. Li tylko stanowczemu wystąpieniu Orzechowskiego włościanie Rozdziela górnego mają do zawdzięczenia, że się przy gruntach utrzymali. Jeszcze w świeżej pamięci jest również wystąpienie mężne Orzechowskiego w sprawie ustawy o niepodzielności gruntów włościańskich. Oświadczył on, iż ustawę tę uważa za szkodliwą dla włościaństwa, już choćby dla tego, że ona ogranicza wolność osobistą włościan, bierze ich pod sztuczną opiekę, do której włościanie nie mają najmniejszego zaufania. W ogóle i dziś poseł Orzechowski występuje zawsze przeciw ograniczeniu wolności osobistej, przeciwdziała w Kole każdej ustawie, zagrażającej tej wolności. Tak np. widzieliśmy w ostatnich czasach posła Orzechowskiego, jak bronił uczącą się młodzież naszą, występując przeciw dwuletniej służbie wojskowej studentów.

Z tego łatwo może każdy pojąć, że taki poseł nie może być dogodnym obozowi politycznemu, w którym na ostatnim planie stoją sprawy ogólno-krajowe, a na pierwszym interesa tylko jednej warstwy społeczeństwa. To też p. Orzechowski jest solą w oku przewodnikom Koła, szczególnie od czasu jak wystąpił w sprawie wódczanej p r z e c i w p o d a t k o w i na korzyść gorzelników, a ze szkodą dla konsumentów (spożywców). W różny sposób starano się uczynić Orz. nieszkodliwym. Najpierw chciano go sobie ująć słodkiemi słóweczkami, a gdy to się nie udało, to starano się zniechęcić go do poselstwa różnemi sprawianemi mu przykrościami. Nie udało się to dotychczas. Wszelkie te usiłowania rozbiły się o stanowczość naszego posła. Daj Boże, aby i na przyszłość takim pozostał!

W życiu prywatnem Orzechowski jest dobrym i uczynnym. Nie jedną sierotę przygarnął do siebie i we własnym domu wychował, lub posełał na swój koszt do szkół do Bochni, nawet do Krakowa. W obejściu jest on miłym i wesołym.

Tak pokrótce skreśliliśmy żywot tego zacnego włościanina, przyczem nie jeden ciekawy szczegół o nim pominąć musieliśmy.

Józef ze Spiża.

CHŁOPI POZNAŃSCY.

Jak wiecie, część ojczyzny naszej znajduje się pod panowaniem pruskiem. Otóż w tej części, mianowicie zaś w Wielkiem księztwie poznańskiem, które rząd pruski przechrzcił na prowincję poznańską, mieszka lud polski, który jest bardzo oświecony.

Rząd pruski pragnąłby Polaków się pozbyć, usiłuje z nich zrobić Niemców, dlatego też robi wszystko, co tylko można, ażeby jak najprędzej Polaków wynarodowić. W tym celu, jak pewnie dobrze pamiętacie, bo to się działo przed kilku zaledwie laty, wydalił z kraju przeszło 30,000 biednych ludzi, których jedyna wina polegała na tem, że albo oni, albo ich ojcowie nie rodzili się pod panowaniem pruskiem, lecz w tak nazwanej Kongresówce tj. tej części Polski, którą zagarnął Moskal, albo też w Galicji. Rząd pruski chciał mieć w ten sposób 30,000 Polaków mniej pod swojem panowaniem. Nie dosyć tego; ustanowił on sto milionów marek, czyli 50 milionów reńskich, ażeby za te pieniądze wykupywać ziemię z rąk polskich i oddawać ją kolonistom szwabskim; w szkole zakazał uczyć po polsku, dzieciom nawet nie wolno pomiędzy sobą mówić w szkole ojczystym językiem; nasełał też, gdzie może, nawet księży niemieckich, i tak na stolicy arcybiskupiej gnieźnieńsko-poznańskiej, gdzie zasiadywali Polacy, arcybiskupi, którzy królów polskich koronowali, siedzi obecnie Niemiec, nazwiskiem Dinder. Przeciw temu wszystkiemu bronią się Polacy pod panowaniem pruskiem, najdzielniejszy opór stawiają zaś chłopi. Trzymają oni ziemię w swych rękach, nie chcąc jej oddać na pastwę Niemców, choć im dobrze chcą zapłacić, matki uczą dzieci swoje w domu po polsku (w Poznańskiem wszyscy prawie chłopi umieją czytać) i tak wszyscy pracują, ażeby się nie dać Niemcom. Często w celach wspólnej narady, jak się najlepiej bronić, odbywają też wielkie zgromadzenia czyli wiece. Na te wiece zjeżdżają się ze wszystkich stron chłopi, którzy nie dbają ani o dzień, dwa, trzy, ani o wydatki na podróż, gdy idzie o dobro ojczyzny. Otóż jeden z takich wieców, na którym było kilka tysięcy ludu, odbył się w lutym tego roku w Poznaniu. Tu pomiędzy innymi prze-

mawiał pewien gospodarz z Poznańskiego, nazwiskiem Karaś. Abyście zaś się mogli przekonać, jak wieśniacy w księztwie Poznańskiem czują się obywatelami Polski, jak dzielnie bronić jej potrafią, to przytaczamy tutaj ustęp z mowy tego wiarusa. Powiedział on jak następuje:

„Kto nie szanuje świętości narodowych, nie wart się nazywać synem Polski. Zebraliśmy się dzisiaj, aby się pouczyć, jak usunąć dziejące się nam krzywdy. Szkoła kosztuje kieszeń naszą drogie pieniądze, składamy na nią ciężkie podatki; nie spodziewaliśmy się jednak, żeby rząd tak się z nami obchodził, którzyśmy w trzech wojnach, na polach Królowogrodu, Sedanu, Paryża krew naszą nie skąpo przelewali, żeby rząd, który zdaje się, wyczerpał wszystkie dobrodziejstwa, jakiemi nas chciał uszczęśliwić, jeszcze nowem nas obdarzył, odbierając nam język ojczysty, a narzucając obcy; my sobie bynajmniej takich dobrodziejstw nie życzymy. A czujemy dobrze niesprawiedliwość, jaka nam się dzieje i potrafimy dobrze się bronić, bo nie pochodzimy z dzikiego szczepu Indyan, ale z narodu, który potrafił cierpieć i boleć, pochodzimy z narodu, który ma świetną przeszłość poza sobą i dla tej przeszłości nie zrzeczemy się przyszłości.

A dla czego się tak z nami obchodzą? nie daliśmy przecież żadnego do tego powodu, każdy uczciwy Niemiec to nam przyzna.

Ponieważ nasze skargi, żale i petycje nie odnoszą żadnego skutku i skazani jesteśmy na samych siebie, to też sami się obronimy.

Piękną jest ta mowa, w której tak rzewnie śpiewali nasi wielcy wieszcze, więc z miłością brońmy tej mowy od wymarcia, uczmy dzieci pisać i czytać po polsku, modlić się po polsku i polskie śpiewać pieśni i piosenki, a przekażemy ją czystą i nieskalaną i brzmieć ona będzie tak długo, póki stanie świata. Wskazujmy dzieciom na świetne dzieje nasze, uczmy je poznawać przeszłość naszą, prowadzajmy na mogiły naszych narodowych męczenników, tam odmawiajmy z dziećmi za ich wzniosłe dusze pacierz polski, aby i nad naszymi grobami dzieci nasze umiały się w tym języku pomodlić.

W tym celu przystępujemy do czytelń ludowych, otwierajmy domy nasze pismom i książkom polskim, bo pisma i książki to nasi kierownicy duchowi i apostołowie, co drogą prostą prowadzą do oświaty i postępu, abyśmy nie stanęli za drugimi narodami i wstydzić się musieli, żeśmy Polakami. Dla tego nie oglądajmy się na szlachtę i księży, nie zakładajmy rąk, spuszczając się na nich, ale sami, **cały naród** niech pracuje nad swoją obroną, bo „kto się na kogo spuści, tego Pan Bóg opuści!“

Rozważcie sobie dobrze tę mowę i starajcie się, ażeby i z was mogli wyjść tacy ludzie, jak ten chłop z pod Poznania, tacy dzielni synowie nieszczęśliwej ojczyzny naszej.

Rocznica bitwy pod Racławicami.

W pamiętnym dniu 4. kwietnia b. r. ukończy się 95 lat, jak na wezwanie naczelnika Tadeusza Kościuszki i pod jego dowództwem, lud wiejski głównie z podkrakowskich okolic, zebrawszy się 1794 roku, uzbrojony w kosy, rozbił pod Racławicami Moskali. W dniu tym powinniśmy uprzytomnić sobie, jak to ojcowie nasi, prosty lud, zrozumieli potrzebę ratowania ojczyzny; jak się uczuli prawdziwymi obywatelami kraju, nieodrodnemi dziećmi tej ziemi, która ich zrodziła i wykarmiła, z jaką ochotą pobiegli na wezwanie wielkiego Naczelnika, ażeby jej bronić. Jest to najlepsze świa-

dectwo, jakie sobie wystawił wtenczas lud polski, świadectwo, którego pamięć żyć będzie wieki całe. Niejednego to gospodarza dziś pod Krakowem żyjącego, dziad bił się dzielnie na tych Racławickich polach, niejeden sam nawet położył głowę swoją za wolność i niepodległość ojczyzny.

O tej pamiętnej bitwie pod Racławicami, gdzie 4. kwietnia 1794 r. chłopi z pod krakowskich okolic uzbrojeni w kosy pod wodzą Tadeusza Kościuszki rozbili regularne wojsko moskiewskie, któremu nietylko że zabrali armaty, broń i chorągwie, ale jeszcze parę tysięcy ludzi zabili, a resztę na cztery wiatry rozgonili, — pisano i opowiadano wiele. O sławnym tym wypadku przechowało się dotąd dokładne podanie między ludem krakowskim; jeden zaś z poetów polskich, Teofil Lenartowicz: ślicznie tę bitwę opisał, a teraz słynny malarz krakowski Jan Matejko wymalował ją znakomicie.

Zanim powiemy o obrazie tę bitwę przedstawiającym, przytoczymy wprzód ustęp z opisu jej wierszem Lenartowicza *):

. . . .

I wysunął się Kościuszko
Na przodek szeregu
I zawołał: — wiara bracia,
Od brzegu do brzegu.
A najpierw wy wieśniacy,
Polski ludu rolny,
Widzisz Moskwę — to niewola,
Bij, a będziesz wolny.
My tu bracia na swej ziemi,
Ziemia to krakowska;
Nasza Polska i nasz krzyż ten
I rola ojcowska.
Czy nam zagon ten niemiły
Uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał
Jedn Bóg wie za co.
Wiara bracia przez Bóg żywy,
Kto Polak prawdziwy,
Puszczać kosy na te chwasty,
Co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową,
Ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?

— Zrozumielim Naczelniku,
Trzeba bić Moskali!...
Jezus Marja hasło nasze,
Jezus Marja! wrzasną;
A na rżysku od kos błysku
Zrobiło się jasno.

Matejko na obrazie, który jest bardzo wielkich rozmiarów, przedstawił plac boju pod Racławicami w pierwszej chwili, kiedy się bitwa skończyła.

Zdaleka widać jeszcze ostatnie oddziały moskiewskie zmykające, które goni nasza kawalerja. Tuż zaś przed nami po prawej stronie obrazu, stoją rzędem armaty zabrane przez kosynierów Moskalom. Prawą ręką na jednej z nich oparty, stoi w pełnej godności postawie Bartłomiej Głowacki, który się tyle przyczynił do zwycięztwa pod Racławicami. Jego to kosa wszędzie przodowała tym licznym kosarzom, tu go teraz otaczającym, co przedtem kosili tylko trawę na łące.

I Bóg też pobłogosławił tej kośbie, uwieńczonej tak pięknem zwycięztwem, to to też wszyscy kosynierzy otaczający Głowackiego są zadowoleni i w wybornym humorze. Każdy z nich po swojemu cieszy się ze zwycięstwa. Opowiadają sobie, co kto widział, co uczuł, co doznał w boju lub czego sam dokonał. Ot tu na prawo w tej sutej kerezji jakiś krakowiak, zapaliwszy przedewszystkiem fajkę, ostrzy aż miło osełką swą kosę, widocznie przeczu-

*) O Polskim Naczelniku Kościuszce i o Racławickiej bitwie dnia 4. kwietnia 1794 r. Biblioteka Mrówki, Lwów, 1886.

wając potrzebę nowego jej jeszcze użycia. Inny znów z wielkiej radości wyrzucił wysoko w górę czapkę i nastawia ręce, aby ją znowu złapać, gdy spadać będzie. Ale wszyscy tłumem zwracają się w jedną stronę, bo oto konno wyjeżdza Kościuszko. Więc też wszyscy witają swego wodza, swego, jak go nazywali, ukochanego Naczelnika, — i każdy jak umie, chce mu zasłużoną cześć oddać. — Kościuszko na widok tych dzielnych ludzi, co tak chwacko rozbili Moskali i pozabierali im działa, zdjąwszy czapkę, cześć im przez to publicznie oddaje. — Kościuszce towarzyszą ksiądz Kołłątaj, jenerałowie Wodzicki i Madaliński. Jenerał zaś Zajączek stojąc w stosowanym kapeluszu, wkłada szablę do pochwy, jakby chciał powiedzieć, że już bitwa na dziś skończona.

Na lewo obrazu siedzi we wspaniałym ubiorze dawny szlachcic Dembowski i patrząc na te tłumy włościan, dziwi się, że choć nie wojskowi, jednak tak ogromnie pobili moskiewskie wojsko i pozabierali mu armaty.

Na drugiej stronie obrazu stojący Bartłomiej Głowacki z takiem zadowoleniem na twarzy, zdaje się jakby opowiadał na to zdziwienie pana w te mniej więcej słowa: »Pokazaliśmy, co potrafimy i możemy, a gdyby za naszym przykładem na wezwanie Naczelnika poszedł każdy zaraz, pan czy kmieć zarówno, dawnoby już lepiej w naszym kraju było, gdyżbyśmy od siebie wygnali najeźdźców za dziesiątą granicą. W tem ci to właśnie bieda, że u nas tak dużo ludzi nie poczuwających się do obowiązku służenia Ojczyźnie, będącej w niewoli».

Oprócz tych głównych postaci na tym wielkim obrazie, są tu jeszcze i inne.

Niedaleko prowadzą kilku Moskali do niewoli wziętych. Jeden z nich, Moskal rosły, bił się widać dobrze, bo twarz jego od prochu zczerniała, a jednak mimo to, dostał się do niewoli. Smutno mu i żałośnie, że on, oficer i to jeszcze od grenadjerów tak wysoko cenionych w Rosji, a tu teraz taki wstyd, chłopi polscy z taką go paradą do kozy prowadzą.

Na ziemi, jak zwykle na pobojowisku, leżą ciała tych poległych, co przegrali bitwę. Szczególniej jeden z tych Moskali zwraca na siebie uwagę. Ogromnę ranę otrzymał w szyję, padł, tchu mu brak, chwyta się więc za gardło ręką, aby przecięte części zsunąć do siebie. Tymczasem jednak życie mu uciekło, Nieborak! Miał nieszczęście, że się dostał pod Głowackiego kosę, a kogo ten zuch poczęstował cięciem, to już nie było się i poco więcej schylać!

Widzimy zatem z tego krótkiego opisu, że cały ten Matejki obraz, przedstawiający bitwę pod Racławicami, nietylko jest bardzo piękny, ale i nadzwyczaj zajmujący. Kiedy był na wystawie w Krakowie i we Lwowie, tysiące go ludzi zwiedzało. Obraz ten teraz zrobiony w zmniejszonej formie, kto każe oprawić sobie za szkło w ramki, będzie miał bardzo piękną ozdobę w domu, a zarazem i pamiątkę uwieczniającą świetne czyny za ojczyznę ludu polskiego z pod Krakowa. Cena małego obrazu 50 ct.

O Bartoszu Głowackim śpiewają w wielu okolicach śliczną piosenkę:

Hej tam w karcmie za stołem,
Siadł psy dzbanie Jon stary
Otocyli go kołem,
On tak prawił do wiary:
„Wiara bracia, źle teraz,
„Dawniej lepiej bywało.
„Ej mówiłem wam nieraz,
„Ze jus zuchów jest mało.

„Z nasych casów to słynął,
„Kum Bartłomiej Głowacki,
„Od Moskali on zginął,
„Żołmirz z niego był chwacki.
„Cy to w karcmie, cy w domu,
„Cy to taniec, wesele,
„Nie dał bruździć nikomu,
„I był zawsze na cele.
„Gdy na wojnę zwołali,
„Młodzies nasych powiatów,
„Myśma bili Moskali,
„Bez pomocy magnatów.
„Po seregach się lśniały,
„Kierezyje, capecki,
„Do kuzdego siz śmiały,
„Kieby łanie dziewecki.
„Tam za górą harmaty,
„Stzeze oddział kozacki,
„Oj cekajta psubraty,
„Mówił Bartos Głowacki.
„Raz pamiętam, wiecorem,
„W Racławicach stojewa,
„Coś cernieje za borem,
„I Moskali widziewa.
„Gdy Kościusko ich zocył,
„Kazał bębnić na bitwę,
„A Głowacki wyskocył,
„I miał kosę kiej bzytwę.
„Zacął machać, wywijać,
„My tez obces na wrogi,
„Dalej ranić, zabijać,
„Aze oni het w nogi.
„I pses bagna, psepaście,
„Uciekali kiej wściekli,
„Myśma harmat dwanaście,
„Do Kościuski psywlekli.
„Wodzowie się schodzili,
„I Bartosa witali,
„Zdrowie jego het pili,
„I serdecnie ściskali".
Młodzies kubki nalała,
I spełniła je duskiem,
„Wiwat zuchy!" wołała,
„Nas Głowacki z Kościuskiem!"

DOBRY ZAROBEK.

Biedny ja człowiek. Gruntu ani odrobiny, wszystkiego tylko jedna chata i ta stara. A tu żona, dziatek dwoje, trzeba czemś żyć, trzeba jakoś trzymać się na świecie. Dwa chłopaki u mnie, jeden w czternastym, drugi w dwunastym roku, za pastuchów służą u dobrych ludzi, za to mają bodaj odzienie i strawę. Żona przędzie, także cokolwiek zarabia. No, a dla mnie starego, jaki zarobek? Ot, pójdę czasem do poblizkiego zrębu, narżnę brzeziny, naklecę miotełek przez tydzień, a w poniedziałek bierzemy z żoną po wiązce na plecy i wleczemy się na targ do Drohobycza. Niewielki to z tego zarobek, po trzy, cztery centy za miotłę; panu z tego zapłać za pręty, to i mało co zostanie. Ale cóż robić, trzeba się krzątać, ażeby Panu Bogu daremnie chleba nie zjadać. I jakie też to życie nasze! Kartofle i barszcz, czasem to niby kasza i chlebek jaki się trafi, żytni to żytni, a jęczmienny lub owsiany, to i za to niech będą Wszechmocnemu dzięki. Jeszcze jak lato, to pół biedy, człek bądź u bogatszego cosik zarobi, bądź też ze sakiem w potoczynę wlezie, rybę jaką ułowi, albo grzybów z lasu nadniesie; ale w zimie wszystkiego tego nie masz. Co od ludzi za robotę dostaniemy, to tylko i mamy i tem się żywimy, a nieraz to i z głodu i z chłodu przymieramy. Ot, jak to u chałupników bywa.

No, widzicie, a jeszcze znalazł się dobry człowiek, co pozazdrościł i tym naszym dostatkom! Niby to za dużo dziadku tego dobra u ciebie, nuż no roztyjesz zanadto, rozhulasz się. Więc na, masz! I wsypał takiego pieprzu, że Panie, stań się wola Twoja! Słuchajcie, jak to było:

Idę ja sobie raz miastem, miotły do kupy związane na drążku niosę na plecach, i rozglądam się do koła, czy nie kiwa kto na mnie lub czy nie woła jaka żydówka: „Człowiecze, człowiecze, poczemu miotły?" A tu narodu dokoła, jak zwykle w dzień jarmarczny. Zerkam ja tak tędy i owędy, widzę: idzie za mną jakiś panisko garbaty, z głową dużą, jak u sowy, a oczy u niego szare i złośliwe jak u żaby. Idzie i raz wraz na mnie spogląda. Stanąłem myślę, może potrzebuje czego, a on nie, stanął sobie również opodal. Idę dalej, on znowu za mną. Jakoś mi się niedobrze zrobiło. „Pek ci biedo — myślę sobie — co to takiego?" Aż tu żydówka z boku wrzeszczy:

— Człowiecze, człowiecze, poczemu miotła?

— Po pięć — rzekę.

— Ny, za co po pięć? Na wam trzy.

— Dawaj cztery.

— Nie. trzy.

— Nie, cztery.

Stargowaliśmy za cztery centy. Rzucam swoją wiązkę z pleców, rozwiązuję sobie spokojnie, daję żydówce miotłę. aż tu garbaty panisko za mną.

— A poczemu miotełki sprzedajecie? — zapytał.

— Po pięć centów, panoczku — odrzekłem — kupcie, miotły dobre.

Wziął jednę, spróbował.

— Tak — rzecze — niema co mówić, dobre. A zkąd wy?

— Z Monastyrza.

— Tak, tak, z Monastyrza. A często wy takie miotełki sprzedajecie?

— Nie, nie często. Ot tak raz na tydzień, co poniedziałek.

— Aha, aha co poniedziałku. A dużo tak jednego poniedziałku sprzedacie?

— A, jak się trafi, panoczku. Czasem ja i żona wysprzedamy wszystko, co tylko wyniesiemy, a czasem i nie wysprzedamy.

— Hm... A dużo ich w jednym tygodniu możecie zrobić?

— Ta i to proszę pana, jak do potrzeby.

— No, no, rozumie się. Bo to widzicie, ja jestem dostawcą do cesarskich magazynów, to mnie by trzeba takich miotełek dużo, ot tak ze sto. Czy moglibyście do tygodnia zrobić mi sto mioteł?

— Dlaczego nie, zrobię. A dokąd panu donieść?

— Ot tutaj — mówi i pokazał jeden domek. — Ale pamiętajcie, żebyście słowa dotrzymali. A ja zapłacę. A po czemu żądacie za sztukę?

— Ta już, jeżeli pan na hurt tak dużo biorą, to spuszczę taniej, po cztery.

— Nie, nie, nie, nie trzeba, nie spuszczajcie! Zapłacę i po pięć.

— A niechże panu Pan Bóg da zdrowia i lat setnych!

— No, no, bywajcie zdrowi, a pamiętajcie: od dziś za tydzień przychodźcie!

I z tem słowem panisko poszedł sobie dalej, a ja zostałem.

— Ot to — pomyślałem sobie — jakiś dobry panisko i nawet ceny spuszczać nie każe. Niezły zarobek będzie. Co tchu pobiegłem szukać swojej starej i oboje wysprzedawszy swój towar, czy nie wysprzedawszy, kupiliśmy soli, siarników i czego tam jeszcze nam było trzeba i do domu. Mówię ja swej starej, że oto tak i tak, zarobek mi się trafił niezgorszy. I ona też ucieszyła się.

— Trzeba będzie wziąć się nam obojgu, bo gdzież ty sam za tydzień taką robotę zrobisz?

Dobrze. Jęliśmy się obydwoje; nanosiliśmy brzeziny całą stertę, fabryka w chałupie. Baba liście obsmykuje, aż jej skóra z dłoni pozłaziła; ja nożem pręciki obcinam, składam, wiążę, rączki strugam, aż kipi robota. Przyszła niedziela; cała setka mioteł gotowa i w wiązki powiązana. W poniedziałek bierzemy my te wiązki na drągi, a drągi na plecy, i wal do miasta. Upał taki, że uchowaj Chryste Panie. Poty z nas setnie się leją, w gardle wyschło; ha, ale cóż robić, kiedy zarobek, to zarobek.

Przychodzimy do miasta, wszyscy żydzi na nas oczy powytrzeszczali. Cały kahał nas obstąpił, zgiełk taki podjęli, jak gdyby niedźwiedzia prowadzono.

— Słuchajcie człowiecze, a dokąd wy taką furę pręcia dźwigacie?

— To wy z babą cały lasek brzeziny do miasta przywlekli!

— Stój, stój! Co chcecie za lasek brzeziny?

A my nic. Idziemy chociaż ledwie żywi. Dał Bóg, doleźliśmy jakoś aż do tego domu, gdzie pan kazał czekać. Przyszliśmy pod ganek i brzdęk owemi wiązkami o ziemię. Aż tu i pan z okna wygląda.

— A — rzecze — to wy, człowieczku?

— Tak proszę pana, to ja z miotłami.

— Dobrze, dobrze, ja zaraz do was wyjdę.

Zamknął okno. Czekamy. Aż oto i on.

— No, cóż, przynieśliście miotełki?

— Tak jest, proszę pana, równo sto, jak pan kazali.

— Aha, aha, to dobrze. Ale wiecie co, ja ich teraz nie potrzebuję; zabierzcie je so-

bie, niech u was jeszcze będą do jakiegoś czasu, albo możecie też i sprzedać. A mnie gdy będzie potrzeba, to ja wam dać znać. A teraz weźcie ten oto kwitek, to już wam wójt powie, co z nim zrobić.

— Ba, a to po jakiemu — rzekę — wszakci pan zamówili, a teraz nie biorą.

— Nie, nie biorę — odrzeka on łagodniutko — bo teraz mi nie potrzeba. Ale wy się nie bójcie, ja o was nie zapomnę. Weźcie ten kwitek, weźcie!

— Na co mnie waszego kwitka? Co ja z nim zrobię?

— Weźcie, weźcie — powtarza on. — A zresztą nie chcecie, to jak się wam podoba, A teraz idźcie ztąd!

Już to, prawdę powiedziawszy, chciałem tam postawić się do niego z językiem, ale on obrócił się i czmychnął do chaty. Zostaliśmy jak wodą zlani. A dalej, cóż robić, zabraliśmy miotły i poszli.

Aż tu nie minął tydzień, woła mnie wójt. „Co za bieda", myślę sobie. Przychodzę, a wójt śmieje się i mówi:

— Nu, dziadku Pańku (wszyscy mię dziadkiem zwą, chociaż ja i nie taki to nadto stary), masz niepokalane zwiastowanie.

— Co za zwiastowanie?

— A ot tutaj, widzisz? — i wyjął papier, ten sam, co mi ów panisko napychał, rozłożył go i zaczął czytać coś takiego, czego ja ani w ząb nie zrozumiałem.

— A cóż to za pokusa? — pytam.

— Nie pokusa, bracie, ale arkuszek.

— Arkuszek? Co za arkuszek? dla kogo?

— A jużci, że dla ciebie. Masz płacić obok domowego podatku jeszcze i zarobkowego po pięć reńskich rocznie.

— Po pięć reńskich rocznie? Panie, zmiłuj się, to za co?

— Za miotły. Co tygodnia sto mioteł sprzedajesz. Sam pan inspektor podatkowy widział i przekonał się.

Stanąłem, jak ten, powiadają, święty Szymon Słupnik, co to pięćdziesiąt lat na jednem miejscu słupem stał. Wolałbym był miskę ciemierzycy na obiad zjeść, niż coś podobnego usłyszeć.

— Panie wójcie — rzekę po chwili — ja płacić ani myślę.

— Musisz.

— Nie, nie będę. Co mi zrobicie? Co goły za pazuchę schowa?

— Kzekucję naślemy, zobaczysz.

— Ślijcie sobie i natychmiast. U mnie i kzekutnik zdechnie, zanim co znajdzie.

— To chatę sprzedamy, a was z babą puścimy na cztery wiatry. Cesarskie nie śmie przepaść.

Jęknąłem, jak poderznięty.

— A widzisz! A co, czy będziesz płacił?

— Będę — odrzekłem, a sam sobie swoje mam na myśli.

Trzy lata minęły, nie płaciłem ani centa. Gdy kzekucja przychodziła, chowaliśmy się z babą w łozy, a chatę zamykaliśmy; przyjdą, popukają i pójdą. Dwa razy chcieli się wdzierać gwałtem, okna wyrywać i komin walić, ale obydwa razy dobrzy ludzie jakoś wyprosili. Wreszcie tej wiosny urwało się. Nic już nie pomogło. Resztancji na mnie uzbierało się coś około dwudziestu reńskich; z miasta nakazano zaraz pieniądze złożyć, albo chatę na licytację puścić. Jużem ja i nie uciekał nigdzie, widzę, że już to na nic się nie zda. No i cóż? Wyznaczyii licytację, oszacowali cały mój majątek na okrągłych dwadzieścia reńskich. Przychodzi ten dzień: bębnią, wołają kupców „kto da więcej?" Ehe. kiedy bo nikt i tyle nie daje. Dziesięć, dwanaście, ledwie na piętnaście reńskich wyciągnęli i za tyle też sprzedali. A ja w śmiech i mówię do wójta:

— A widzicie, przecieżem was okpił. Chybaż wam nie mówiłem, że gołego trudno obedrzeć?

A wójt do mnie:

— Niech ciebie dziadu djabli biorą, na jakie ty się sposoby puściłeś!

Naszą chatę kupił żyd Jojna na chlewek dla cieląt, a my z babą, jak widzicie, w komorneśmy poszli i znowu po staremu żyjemy, dopóki Pan Bóg wieku przedłuży. Ona przędzie, chłopcy ludzkie bydło paszą, a ja miotły klecę, i tak żyjemy, nie widząc ani słysząc, co to arkuszek podatkowy.

Iwan Franko.

Poradnik dla czytelń.

O Ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził, z powieści Bolesława Prusa pt. „Placówka" skróciła Faustyna Morzycka. Warszawa 1889 cena 25 ct., stron 125.

Jest w Warszawie bardzo rozumny i zdolny pisarz, który się nazywa Aleksander Głowacki, a na książkach podpisuje się Bolesław Prus. Śliczne też pisze on książki i gawędy nauczając, jak rozumnie i uczciwie żyć na świecie, obchodzić się z ludźmi po ludzku i jak sobie dawać radę w naszych ciężkich czasach. W jednej takiej książce, co się nazywa «Placówka», opowiedział on historję pewnego chłopa polskiego, nazwiskiem Józek Ślimak, jakie to on miał kłopoty z Niemcami, co gwałtem chcieli od niego kupić jego ziemię, a on opierał się im z całej siły mimo wszelkich nieszczęść, jakie na niego spadały. Opisano tam z początku gospodarstwo Slimaka, jako był on gospodarz na sześciu morgach, miał parę koni i krowę, miał żonę i dwóch chłopaczków, służącą Martę i sługę owczarza, jak kupił jeszcze jedną krowę i o mało że nie kupił od dziedzica łąki, co przypierała do jego gruntu — jednem słowem, był gospodarz dobry.

Na jego nieszczęście przyszli Niemcy do wsi i zakupili dwór ze wszystkimi pańskimi gruntami. Prześlicznie tam opisany naród niemiecki, wytrwały, przemyślny i nieprzebierający w środkach, byle czego dopiąć. Biedny Ślimak nigdzie nie może dać sobie z nimi rady, wszędzie Niemcy odbierają mu zarobek, odbierają mu łąkę, co wynajmował u pana, nie chcą sprzedać paszy i przyciskają go jak to mówią, do ściany. A zawzięli się na niego Niemcy dlatego, że im nie chciał odsprzedać swej ziemi, która leżała pośród dawnych pól dworskich i szczególnie dlatego była im potrzebną, że była tam góra, na której można było wystawić wiatrak. Wiatraka zaś tego potrzeba było kolonistom po to, by jeden z nich mógł się ożenić z córką sąsiedniego bogatego młynarza, za którą miał wziąć duże pieniądze. Bez wiatraka nie chciał on wydać swej córki koloniście, a koloniści potrzebowali pieniędzy choć giń, by spłacić dawnemu dziedzicowi dwór i grunta. Nie można powiedzieć, żeby cała ta maszyna była mądrze obmyślaną, ale kto wie, może gdzie i tak się w świecie działo.

Dość, że Ślimak ze swym uporem bardzo stoi na przeszkodzie Niemcom. Na dobitek nieszczęścia naraził się Ślimak w gromadzie, rozgniewał na siebie arendarza. Skradziono Ślimakowi konie, podpalono mu chatę, zginął mu wierny sługa, syna wpakowano do więzienia, zachorowała mu żona. Tyle nieszczęść było już za dużo dla niego postanowił więc zbyć się ziemi i iść gdzie w inne strony. Już miał podpisać kontrakt, ale chora żona, dowiedziawszy się o wszystkiem, wyprowadziła go z pomiędzy Niemców i zaklęła na wszystkie świętości, by Niemcom ziemi nie sprzedawał.

— Ty zdrajco! — ty zaprzańcu! — krzyczała. — Ty grunt sprzedajesz. A? tobyś ty samego Pana Jezusa żydom sprzedał! To ci się już sprzykrzyło, żeś jest uczciwy gospodarz, jako twój ojciec, chcesz zejść na poniewierkę między ludzi? A co zrobi Jędrek? Będzie chodził za cudzą sochą! A mnie jak pochowasz?

Ślimak przysiągł żonie, że nie sprzeda. Żona wkrótce umarła. Niemcy zbankrutowali, sprzedali grunta i wynieśli się dalej. Ślimak zaś pochował żonę, odbu-

dował chatę i dalej na swoim kawałku gruntu pracował.

To cośmy tutaj po krótce opowiedzieli, nie daje jeszcze żadnego pojęcia o opisach i rozmowach, jakie są w tej książce. Trzeba je samemu przeczytać, by widzieć, jak to tam pięknie spisano. Nie darmo to książkę tę czytają wszyscy Polacy, ba nawet Moskale i Niemcy przetłumaczyli ją po swojemu. Dużo tam powiedział Prus prawdy panom, którzy lekkomyślnie sprzedają swoją ziemię byle komu, nie dbając o to, że nieraz taka sprzedaż może do biedy przyprowadzić całą gromadę, a zawsze jest hańbą dla całego narodu. Bo naród, który się dobrowolnie wyzbywa ziemi, sam sobie daje świadectwo, że jest nieudolny i niedołężny, i że nie dba o swoje potomstwo i o swoją przyszłość. Wiele tam pouczającego jest i dla chłopów polskich i dla księży. Dlatego też książkę Prusa, a przynajmniej to skrócenie, które z niej zrobiła dla ludu panna Morzycka, powinien przeczytać każdy rozumny i piśmienny włościanin, bo takie książki zą chlubą całego narodu.

KRONIKA.

Powodzie. Okropne wieści dochodzą z nad Wisły. W Królestwie Polskiem, zwłaszcza w okolicach Warszawy woda sprawiła straszne spustoszenie, przerwawszy wał ochronny. Pomimo rozpaczliwej obrony mieszkańców, rozhukanego żywiołu nie dało się opanować i Wisła wylała na 3 mile kwadratowe w około. Ofiarą fal padło 18 wsi, a kilkoro ludzi utraciło życie. Bydła zginęło kilkaset sztuk. Pod Modlinem wylała Wisła razem z wpadającą tu do niej Narwią, zatapiając formalnie miasteczko Nowy Dwór. Kilkanaście domów runęło, kościół również stoi we wodzie. Wsie położone poniżej Warszawy stoją zupełnie pod wodą, a nad utrzymaniem w całości wału obwodowego pracują setki rąk. Klęska zeszłoroczna powtórzyła się w całej grozie — a toż dopiero początek!

Z Jarosławia donoszą: Budynki chłopskie są za Sanem ogromnie poniszczone, niemożebne do zamieszkania i wymagające znacznego kosztu do naprawy.

Przeciw wyzyskiwaniu. Wydział Rady powiatowej w Łańcucie wydał następujący okólnik do gmin powiatu łańcuckiego:

Od niejakiego czasu kręcą się po tutejszym powiecie agenci przyrowskiej fabryki narzędzi rolniczych, którzy wyłudzają od włościan zaliczki na maszyny, lub też żądają za takowe całej zapłaty. Gdy to nastąpi, otrzymuje po niejakim czasie nabywca zapłaconą, lub zadatkowaną maszynę z wspomnianej fabryki, która żąda znowu od nabywcy ponownego złożenia należytości, tłómacząc się tem, że pieniędzy od agenta nie otrzymała i że agenci nie są upoważnieni do pobierania jakichkolwiek zaliczek. Wypadek taki miał miejsce ostatniemi czasy w gminie Markowy, agent zaś wspomnianej fabryki był wysłany z centralnej agentury z Krakowa i Podgórza.

Ponieważ z powyższego widać, że fabryka maszyn w Przyrowie (Prerau) nie jest dosyć przezorną w wyborze swoich agentów, którzy łatwowierność ludu wyzyskują i narażają go na koszta i ewentualne procesy, przeto Wydział powiatowy widzi się spowodowanym przestrzedz ludność tutejszego powiatu przed wchodzeniem w interesa z wspomnianą fabryką i jej agentami. Panom naczelnikom gmin zaś zaleca się, ażeby w danym razie badali legitymacje agentów, czy mają dotyczące upoważnienie władz i ażeby nieuprawnionym do tego w zawieraniu przez nich interesów przeszkadzali, jakoteż o ewentualnych wypadkach wyzyskiwania władzom przełożonym donosili.

Krakowskie Towarz. Oświaty ludowej podaje do wiadomości, że w 2 miesiącach bież. roku założył wydział 15 nowych czytelń (l. 123—137) w Samocicach poczta Bolesław, Mokrzyszowice p. Tarnobrzeg, Jastrzębi p. Ciężkowice, Okolicach p. Ujście solne, Zembrzycach p. Sucha, Białym Dunajcu p. Poronin, Nowem Bystrem p. Czarny Dunajec, Jordanowie, Tarnobrzegu, Bystrej p. Jordanów, Tussowie Narodowym p. Mielec, Wiśniowej, Wrzawach p. Nadbrzeże, Gorzkowie p. Bochnia, Gierczycach p. Bochnia, Łapczycy p. Bochnia i Bachowicach p. Zator. Na najbliższej sesji wydziału przedstawione będą do założenia czytelnie w 13 dalszych

miejscowościach powiatu krakowskiego, wielickiego, myślenickiego, tarnowskiego, limanowskiego, niskiego, rzeszowskiego i w domu karnym w Nowym Sączu. W ten sposób Towarzystwo dojdzie wkrótce do poważnej liczby 150 czytelń ludowych.

Wyzyskiwanie emigrantów. Jak ajenci wyzyskują emigrujących do Ameryki, o tem donosi *Diło* fakt następujący. Do Brodów przyjechała z Rosji pewna rodzina gospodarska, którą natychmiast ułowił żyd ajent. Kupił on emigrantom bilety do Bremy, zapłaciwszy za nie: od 5 osób 39 gld. 86 cnt. za pakunki 13 gld. razem 52 gld. 86 cnt. Na to zaś wziął od emigrującej rodziny za bilety osobowe 93 ruble, a za pakunek 40 rubli, razem 133 rubli. Emigranci, nie umiejąc czytać ani liczyć, dali się w taki bezczelny sposób obrabować i pojechali, nie próbując nawet czynić jakichkolwiek kroków sądowych.

Fundusz dobroczynny dla włościan z kapitałem żelaznym 20.000 gld. utworzyła p. Izabela Krzeczunowiczowa w dobrach Bołszowieckich i okolicznych.

O fundacji pani Krzeczunowiczowej wyjmujemy następujące szczegóły: Fundacja nosi imię ś. p. Kornela Krzeczunowicza, kapitał zakładowy wynosi 20.000 złr. Od kapitału tego procenty mają być co pół roku rozdawane: a) dla sierót bez ejca i matki, b) dla wdów obciążonych dziećmi, c) dla zarobników i rzemieślników obciążonych dziećmi, d) dla chałupników obciążonych rodzinami, e) dla kalek i chorych na leki i na lekarzy, f) na tych, co ucierpieli od ognia lub powodzi – wszystko dla chrześcian grk., rzk. i ormk. obrządku, z wyłączeniem żebraków zawodowych, pijaków i prowadzących życie niemoralne. Po śmierci fundatorki rozdawnictwo przechodzi do najstarszego członka rodziny, gdyby zaś wsie przeszły w inne ręce., to żelazny kapitał przechodzi na każdą z obdarowanych gmin, wraz z obowiązkiem, by procent z niego rozdawano według prawideł przez fundatorkę ustanowionych, a rachunki przedkładano rządowi. Pani Krzeczunowiczowa znaną jest ze swej dobroczynności.

Z pod zaboru pruskiego. Przeszło pięćset górników polskich, rodem z Galicji, którzy w kopalniach górnoszląskich, a mianowicie w rządowej kopalni w Królewskiej Hucie od lat kilkunastu mieli stałe zajęcie, musiało wskutek rozkazu urzędu ziemiańskiego w Bytomiu do 1. marca br. granice państwa pruskiego opuścić. Oburzającem do żywego jest stanowisko niemieckiej gazety *Schlesische Zeitung*, która z góry pochwalając wszelkie rozporządzenia władz wyższych winę surowego rozporządzenia władz wyższych przypisuje nieudolnej pracy galic. górników i ciągłym ich kłótniom i sporom z miejscowymi robotnikami, które już nieraz groźne podobno dla spokoju publicznego przybrać miały rozmiary. Fałsze to wierutne.

Górnicy galicyjscy żyli nadzwyczaj skromnie i spokojnie, zadowoleni małym zarobkiem i lichą strawą, umieli grosza zaoszczędzić i przesyłali oszczędności swe regularnie na potrzeby rodzin pozostałych w Galicji. Pocóż tedy okłamywać publiczność, kiedy główne powody wydalania dzisiaj już każdy rozumie. Pierwszym jest oczywiście ten że robotnik z Galicji i z Królestwa Polskiego wstrzymuje zgermanizowanie ziem polskich, pozostających pod berłem pruskiem. Co się zaś tyczy szczegółowo górników z Królewskiej Huty i okolicy, to nieuprzedzony wydaje sąd taki, że kiedy na wiosnę zmniejszyło się zapotrzebowanie węgla, odprawiono w sposób bezwzględny tyloletniego robotnika, któremu sama dyrekcja rządowych kopalni zawsze jak najpochlebniejsze wydawała świadectwa.

Zgromadzenie gospodarzy celem narady nad kandydatem na posła do Sejmu odbyło się niedawno w Zbarażu. Na zgromadzenie to przybyli włościanie ze wszystkich stron powiatu i zaproszony p. Tadeusz Fedorowicz, właściciel Klebanówki. Zgromadzenie liczące 41 członków ukonstytuowało się jako komitet przedwyborczy, postawiło na kandydata p. Fedorowicza i wybrało przedwybotczy komitet wykonawczy z 6 członków.

Nowa ustawa o dziedziczeniu.

Chcemy się z Wami, mili bracia, poradzić w ważnej sprawie. Idzie o to, że rząd prowadzi do ustawy, która wolność dzielenia gruntów, należących do włościan będzie ograniczała.

Trzeba Wam wiedzieć, że jest taki kraj, w którym nawet uchwalone ustawy, skoro są niedogodne, a trzydzieści tysięcy obywateli tego zażąda, przychodzą pod głoso-

wanie powszechne i dopiero głosowanie rozstrzyga, czy ustawy te mają być przez naród przyjęte albo odrzucone. Tak się mianowicie dzieje w Szwajcarji, w małym kraiku, który leży w górach wysokich, o trzy dni drogi koleją żelazną od Krakowa. Na podstawie takiego prawa, według którego wola ludu przeważa ostatecznie*) jakaś n. p. ustawa drogowa, albo inna jakkolwiek po uchwaleniu jeszcze przepadłaby z kretesem, gdyby ludność obejrzała się dość rychło, nie później jak w 3 miesiące po jej wydaniu, że uchwalono ją wbrew jej interesom albo chęciom.

W Austrji inaczej — raz wydane prawo trudno uchylić. Każdy przeto powinien dwa razy tyle co w owej Szwajcarji dbać o to, aby projekty nowych praw były doskonałe. Trzeba się więc starać, aby każdemu były one dostępne, aby jak najwięcej ludzi naradzało się nad niemi i pisało, czy dobre są czy złe.

Jak powiedzieliśmy idzie o ustawę o dzieleniu gruntów, przedłożoną przez rząd w Radzie państwa, w której i z Galicji 63 posłów zasiada. Według projektu rządowego, jeśli gospodarz na wsi ma tyle tylko roli, ile na wyżywienie jednej rodziny potrzeba, to po śmierci, skoroby umarł bez testamentu, cała rola z inwentarzem przechodzi na jedno dziecko, inne dzieci mają być spłacone przez głównego spadkobiercę.

Rada państwa, jak wiadomo, może taki projekt wniesiony przez rząd przyjąć albo odrzucić, ale dopiero Sejmy krajowe postanowią, jak go gdzie przeprowadzić. Inaczej się go może przeprowadzi w Galicji, inaczej na Szląsku, w Czechach lub na Bukowinie. W radzie państwa jedni się oświadczali *za* i tych była większość, w skutek czego ustawę uchwalono: drudzy *przeciw*. Najdzielniej zwalczali projekt rządowy; poseł Kronawetter, który zawsze z ludem trzyma i jego interesów broni, dalej niemiecki wieśniak, poseł Krzepek, z Polaków zaś. włościanin, poseł Orzechowski. Jakie oni widzieli złe skutki ustawy, o tem później pomówimy. Na razie wróćmy do tego, cośmy nadmienili, że choć ustawę w Wiedniu uchwalono, dopiero nasz Sejm będzie stanowił, jak ją wykonywać. Zanim on coś postanowi, czas nad nią radzić. Pamiętajcie bracia, że chodzi tu o los waszych dzieci, a tem samem o dobro kraju. Dlatego też jak najgoręcej popieramy życzenie, wypowiedziane przez «Niedzielę», aby włościanie na zebraniach Kółek rolniczych i w czytelniach naradzili się i dobrze zastanowili, jak byłoby lepiej, czy żeby ojciec grunt swój rozdzielił na części między wszystkie dzieci; czy żeby oddał rolę jednemu dziecku w całości, a dla innych tylko zapewnił spłaty.

Wasze zdanie powinniście jasno i otwarcie wypowiedzieć i przesyłać nam listownie, a my listy wasze wydrukujemy i to co uradzicie, weźmiemy pod rozwagę. Oprócz tego postaramy się, żeby głos wasz dostał się do innych pism, żeby go posłowie nasi do Sejmu poznali i dokładnie rozważyli.

*) Prawo to nie ma polskiej nazwy; w Szwajcarji zowie się ono r e f e r e n d u m.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.